

Wieczorna Walońska Włóczęga (2014)

Stowarzyszenie Zdolna Dolna zorganizowało w sobotę 7 czerwca 2014 roku 5 jubileuszowe przejście Szlakiem Walońskim im. Juliusza Naumowicza. Ze względu na późną porę (godz.17) nazwano to przejście Wieczorną Walońską Włóczęgą. Co prawda udziału w tym wydarzeniu w żadnym razie nie można przyrównać do włóczęgi. Była to przecież świetnie zorganizowana impreza, przemyślana w każdym drobiazgu. Nie było w niej miejsca na nic, co mogłoby narazić jej uczestników na jakąś niedogodność. Nawet przez myśl nie mogło nikomu przejść, że oto nie wiem gdzie jestem. Wszystko było pod kontrolą, a prowadzący świetnie sobie radzili. Bardzo dobrym pomysłem okazało się rozpoczęcie przemarszu późnym popołudniem, gdy wszyscy uwolnili się już od codziennych obowiązków i wywiązali się z wcześniejszych zobowiązań. Dla wielu z obecnych udział we Włóczędze był drugą wycieczką w tym dniu.



Kanclerz Sudeckiego Bractwa Walońskiego Przemysław Wiater wita Burmistrza Szklarskiej Poręby Grzegorza Sokolińskiego (z prawej). Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy pierwsi uczestnicy dotarli na parking przy Lipie Sądowej rosnącej od stuleci w Szklarskiej Porębie Dolnej słońce nie operowało już tak mocno. Było jednak na tyle ciepło, że spokojnie można było pozostać w koszulkach z krótkim rękawem. Nic więc dziwnego, że wśród przybywających widziało się coraz więcej dzieci. Gdy przybył pojazd z muzykami ci, jak to mają w zwyczaju, zaczęli walić ile sił w różnej wielkości bębny. Niektórzy nazywają ich wyczyny muzyką, niektórzy mówią na to nieco inaczej. Faktem jest, że gdy przyłożą się do swoich obowiązków miło ich posłuchać.

Zanim wyruszyliśmy na szlak Kanclerz Sudeckiego Bractwa Walońskiego Przemysław Wiater udzielił głosu gospodarzowi miasta, który pojawili się wśród nas. Burmistrz Szklarskiej Poręby Grzegorz Sokoliński, stosownie do sytuacji, nie zajął zbyt dużo czasu. Najważniejsze co powiedział to to, że idea walońska to bardzo dobry pomysł i, ze względu na jej integracyjny charakter, powinna być kontynuowana. Bo spotkania takie jak dzisiaj są nie do przecenienia. A dzisiaj najważniejszym jest by, bez względu na trud jaki przyjdzie nam ponieść, przejść ten szlak razem.



Ruszamy w drogę. Foto: Krzysztof Tęcza

Po takim zaproszeniu nie pozostało nic innego tylko ruszyć w trasę. Na początku uformowanego pochodu pojechali muzycy wyznaczając głosem bębnów kierunek, w którym powinniśmy podążać. Był to dobry pomysł zważywszy, że nie wszyscy uważali, zajęci rozmowami ze znajomymi. Dopiero po dotarciu do drogi prowadzącej z Jeleniej Góry do Szklarskiej Poręby skończyły się żarty. Trzeba było bacznie uważać, by bezpiecznie przejść na drugą stronę. Udało się to dzięki odwadze osób, które wyszły na jezdnię, aby zatrzymać pędzące samochody. Zresztą widok idących ludzi ubranych w długie czerwone szaty i trzymających w ręku drewniane laski był dla nich na tyle niespotykany, że sami zwalniali nie wiedząc o co chodzi.



Podążamy ścieżką wzdłuż Kamiennej. Foto: Krzysztof Tęcza

Bębniarze odjechali a my wreszcie w spokoju mogliśmy wsłuchać się w ptasi śpiew. Przekroczyliśmy mostek nad Kamienną w okolicach miejsca, w którym znajdowała się kiedyś witrioletnia, czyli zakład wytwarzający z łupków piryty kwas siarkowy. Trzeba wiedzieć, że zakład ten w XVIII wieku był największym w Prusach.

Ponieważ dalsza trasa wiodła wąską ścieżką prowadzącą wzdłuż Kamiennej nasza grupa rozciągnęła się na znacznej przestrzeni. Trzeba było iść gęsiego by nie pośliznąć się i nie wpaść do zimnej wody płynącej kamiennym korytem. Czas jednak tak szybko płynął, że nawet nie zauważyliśmy kiedy dotarliśmy do wodospadu na Szklarce. Wiele osób skorzystało tutaj ze sposobności by coś skosztować. Wydawało im się, że przecież nie ma się gdzie spieszyć. Jak się jednak okazało było to złudne. Gdy dotarliśmy do Chaty Walońskiej będącej siedzibą Sudeckiego Bractwa Walońskiego, tam czekali na nas nasi ulubieńcy. Już z daleka było słychać jak walili w bębny.



Mistrz Sudeckiego Bractwa Walońskiego Anna Naumowicz przekazuje zwis waloński pozytywny Kanclerzowi Przemkowi Wiaterowi. Foto: Krzysztof Tęcza

Ale na poważnie. Przy chacie czekała Anna Naumowicz Mistrz Sudeckiego Bractwa Walońskiego, która w imieniu nieżyjącego już Juliusza Naumowicza (Wielkiego Mistrza) obdarowała Kanclerza Sudeckiego Bractwa Walońskiego Przemysława Wiatera zwisem walońskim pozytywnym. Ma to być zachęta dla niego do nieustawania w prowadzeniu dalszych działań na rzecz Bractwa. Kryształ górski z którego został wykonany zwis nie jest takim zwykłym minerałem jakby się to wydawało. Oprócz swojego znaczenia magicznego, ten akurat okaz, ma jeszcze pozytywną moc pochodzącą od Wielkiego Mistrza. On to bowiem dawno temu, gdy znalazł ten piękny kryształ zabrał go na Śnieżkę, gdzie poświęcił w kaplicy św. Wawrzyńca a następnie ukrył w Chacie Walońskiej. Kontaktując się z zaświatów z Anną zdradził jej miejsce ukrycia kryształu i poprosił o jego przekazanie Kanclerzowi. Do zwisu została dodana także niewielka objętościowa, ale jakże cenna buteleczka zawierająca cykutekę będącą leczniczym napojem magicznym. Przemek skropił kryształ zawartością buteleczki i wzniósł do nieba pozdrawiając patrzącego stamtąd Juliusza.

Aby każdy z uczestników odczuł magię miejsca, w którym się znajdowaliśmy, otrzymał w prezencie oszlifowany kamień wyciągnięty losowo z worka. Na poczekaniu dowiedział się także, co dany kamień oznacza, co może przynieść mu dobrego, a czasami (gdy źle wylosował) jaką krzywdę może mu wyrządzić. Oczywiście w takim wypadku trzeba było pozbyć się owego kamienia wymieniając go na inny.



Opowieści przy kręgu celtyckim. Foto: Krzysztof Tęcza

Teraz, gdy nic już nie mogło nam zaszkodzić, ruszyliśmy w dalszą trasę wiedzeni przez Waldka zwanego Druidem Szalonym. Zaprowadził nas on najpierw do kręgu celtyckiego, przy którym opowiedział historię poszukiwania bursztynów. Niektórzy przecież nie wierzą, że można je znaleźć w naszych górach. Druid Szalony zdradził znaczenie kilku ważnych znaków. Otóż gdy widzicie, tak jak tutaj, słup stojący pośrodku kręgu, który jest obły u góry, jest to znak dla przybyłych, że można nie obawiać się niczego i spokojnie zostać tutaj. Jeśli jednak słup taki zakończony jest na ostro znaczy to, żeby odejść precz bo inaczej może być niemiło. Jeśli zaś przy takim palu dostrzeżecie ślady krwi lepiej szybko się oddalić. Oznacza to, że zostając ryzykujesz, nawet nie wiesz jak bardzo.



Druid szalony pokazuje liść Omanu wielkiego wykorzystywany dawniej jako papier toaletowy. Foto: Krzysztof Tęcza

Prowadzący nas podczas marszu do Muzeum Juna zerwał spory liść z rosnącej przy drodze zielonej rośliny. Niestety nikomu nie chciał zdradzić po co to uczynił. Dopiero po bezpiecznym przejściu na drugą stronę drogi uchylił rąbka tajemnicy. Liść ten pochodzi z rośliny znanej jako *Oman wielki*. We-

dług prowadzącego liście właśnie tej rośliny zastępowały kiedyś papier toaletowy. Są bowiem miękkie i pachnące. Coś tu jednak nie pasuje. Bo czyż kiedyś nie było papieru toaletowego!?



Niektórzy mieli szczęście. Foto: Krzysztof Tęcza

Nieco dalej, na łące prowadzący nas ponownie przystanął i zerwał kilka roślinek. Pokazał *Przytulię czepną* będącą roślinką, z której wzięto wzór przy opracowaniu rzepów. Osobiście spotkałem się z innym zastosowaniem tej roślinki. Otóż można z niej wykonać nalewkę przytuliową. Na pół szklanki ziela daje się 400 ml spirytusu i maceruje przez 2 tygodnie. Żeby była jasność tak przyrządzoną nalewkę używa się do przemywania ran.



Przy grobie Karkonosza. Foto: Krzysztof Tęcza



Złoty Widok. Foto: Krzysztof Tęcza

Kolejną pokazaną roślinką była *Naparstnica*, wykorzystywana w medycynie. Jest ona stosowana przy leczeniu chorób serca. Musi jednak być użyta w odpowiednich dawkach. Zbyt duża bowiem dawka zabija. Aby to zobrazować Druid podał znany przykład. Czasami, gdy zdarzało się, iż głowa rodziny była m..., jego żona i teściowa częstowały go odpowiednio dużą dawką „leku” i miały gada z głowy.

Gdy dotarliśmy pod dom Wlastimila Hofmana, znakomitego malarza, który mieszkał i tworzył właśnie w tym domu, nie poznaliśmy tego obiektu. Spowodowane było to tym, że podeszliśmy do niego od dołu, poniżej bardzo zarośniętego ogrodu. To tam rośnie piękny buk często widoczny na obrazach mistrza. Dowiedzieliśmy się tu dlaczego ptaki nie chcą zakładać gniazd na drzewach iglastych. Niestety, ze względu na zbytnią drastyczność podanego przykładu, nie mogę przytoczyć tutaj słów naszego przewodnika. Mogę natomiast podać, że Wlastimil Hofman często przychodził w miejsce zwane

Złotym Widokiem, by tu malować. Co dziwne nie malował tych wspaniałych widoków, ale nastrojał się tymi widokami duchowo. Nic zatem dziwnego, że dłuższy czas wśród mieszkańców tak pięknych terenów panowało przekonanie, iż w Karkonoszach są tylko dwa prawdziwe miasta turystyczne Szklarska Poręba i Kowary. Później dołączyło do nich trzecie Karpacz uważane, nie wiem dlaczego za miasto upadłe.



Próba rozkołysania Chybotka. Foto: Krzysztof Tęcza

Po dotarciu do Grobu Karkonosza okazało się, że z boku jest tajemnicza szparka. To ponoć przez nią Karkonosz podsłuchuje czy nie wyrażamy się o nim zbyt niegrzecznie. Sam bowiem, nie mogąc dłużej znieść tych wszystkich próśb i błagań kierowanych do siebie, postanowił upozorować swoją śmierć i ukrył się pod ziemią. Nie oznacza to oczywiście, że możemy bezkarnie drwić z niego. Może to się dla nas skończyć źle. Najgorsze co może przydarzyć się ludziom następuje przeważnie u tych owładniętych chciwością. Przekonała się o tym pewna kobieta, która przybywszy do kamienia zwanego *Głową cukru*, a będącego tak naprawdę zatyczką skarbca otwierającą się tylko raz w roku podczas najkrótszej nocy. Gdy zobaczyła znajdujące się tam kosztowności położyła niemowlę i zaczęła pakować je do worka. Tak bardzo się zaangażowała, że widząc jak kamień zamyka wejście uciekła w ostatniej chwili. Dopiero będąc na zewnątrz zauważyła brak swojego dziecka. Niestety było już za późno. Zrozpaczona przychodziła tutaj każdej nocy mając nadzieję, że kamień ponownie otworzy wejście do podziemi. Wyniesione skarby nie przyniosły jej szczęścia. Cierpiała ona tak przez rok, kiedy ponownie kamień uniósł się odsłaniając ukryte wejście. Wtedy szybko wbiegła tam i zobaczywszy swoje dziecko, które jakimś cudem przeżyło, zabrała je i szybko wróciła do domu. Nie chciała już więcej żadnych skarbów, rozumiała bowiem, że największym jest jej dziecko.

Nie zrażone taką opowieścią dzieci próbowały odkorkować ukryte przejście. Zdołały jedynie poruszyć wielkim kamieniem, który nie bez przyczyny zwie się Chybotkiem. Ponieważ faktycznie zaczynało się ściemniać i istniała obawa, że otworzy się magiczne miejsce, ruszyliśmy żwawo w kierunku Domu Wczasowego „Jaś”, gdzie zorganizowano zakończenie dzisiejszego spaceru. Tam poczęstowano wszystkich zwyczajową kromką chleba ze smalcem i ogórkiem oraz kiełbaską, którą można było upiec przy wielkim ognisku.



Zespół Chszonszcze. Foto: Krzysztof Tęcza

Na dobry początek wystąpił zespół *Chszonszcze* Grzegorza Żaka. Od razu zaśpiewano drastyczną piosenkę o tych co wysypują śmieci do lasu. Następna była bardzo życiowa. Jej bohater Euzebiusz Wrona zadaje odwieczne pytanie: Po co ci żona? Kolejne piosenki były nie mniej ciekawe. Na bis usłyszeliśmy tekst o chłopaku, którego nie przyjęto do chóru kościelnego, bo miał za niski głos. Gdy usłyszeliśmy wykonanie Grzegorza pomyśleliśmy, czy aby nie śpiewa on o sobie. Miał bowiem wyjątkowo niski głos. Nic dziwnego, że po takim wykonaniu znalazły się odważne dziewczyny, które zaprezentowały piosenkę bez akompaniamentu muzycznego. Wyszło im to całkiem dobrze.



Wizyta Ducha Gór. Foto: Krzysztof Tęcza

Gwoździem programu było przedstawienie słowno-muzyczne o Duchu Gór. Trzeba przyznać, że jego wyjście z białego dymu zrobiło duże wrażenie na obecnych. Po rozmowie zarządził on trzy próby.

Dwie pierwsze przebiegły bez problemów. Jednak do trzeciej, polegającej na sięgnięciu do worka ze żmijami, nie znalazł się odważny. Niestety odważnej niewieście, która podjęła to wyzwanie, nie pozwolono na tak duże ryzyko. W końcu znaleziono śmiałka. Nie miał on jednak zbyt pewnej miny.



Puszczanie świetlików. Foto: Krzysztof Tęcza

Po odwiedzinach takiego gościa podjęto próby puszczenia podgrzewanych ciepłym powietrzem balonów. Początkowo szło to niezgrabnie, później coraz lepiej, aż w końcu na niebie pojawiły się dziesiątki świecących światełek porywanych przez wiatr i unoszonych w kierunku Piechowic. Ponieważ było już dobrze po północy pozostali już tylko najwytrwalsi. I jak zwykle w takich razach, bawili się oni w śmienicie. Ognisko dawało tyle ciepła, że można było szaleć do białego rana.

Krzysztof Tęcza